

Ten list otrzymał Stuart z końcem stycznia. Już trzy miesiące upłynęły od zabójstwa Artevel-
da, a jeszcze nie odkryto najmniejszego śladu
zbrodniarza. Gnębiło to Stuarda, niepokoiło, ale nie
odbierało energii i wiary, że dzieła dokona.

Pewnego dnia, gdy siedział zamyślony nad ja-
kąś lekarską książką, wrócił dr. Anstin bardzo
zmęczony.

— A to dzień! Trzynastu pacjentów! Mój
drogi przyjacielu, podaj mi z łaski swej listy ze
skrzynki pocztowej. Przepatrzę je i położę się od-
począć.

Stuart wyjmując listy, rzucił okiem na różne
pisma adresów.

Na jednym liście zobaczył pismo Leonory Ar-
nym. Nie mylił się, tak, wszakże Kate Scaton po-
kazywała mu pismo swej przyjaciółki. Podał listy
doktorowi, potem pożegnał go mówiąc, że się prze-
jdzie na spacer.

— Dobrze, dobrze, idź mój imienniku kochany,
użyj świeżego powietrza, a ja się tymczasem prze-
śpię.

Doktor czytał listy jeden po dru-
gim, potem położył je na biurku, a
sam odszedł do sypialni i zmęczony
zasnął twardo.

Stuart wszedł po cichu do kan-
celaryi, chwycił listy i przeczyta-
wszy ów od Leonory, położył go
na swoim miejscu.

W godzinę potem obudził się dr.
Austin i wyszedł do ogrodu. Tu go
spotkał Stuart i zatrzymał:

— Przepraszam, że pana za-
trzymuję. Mam prośbę.

— No cóż takiego? — zapytał
doktor z tkliwością, bo lubił bardzo
młodzieniaszka.

— Oto proszę pana, jutro przy-
jedzie do Chicago mój dawny ko-
lega i przyjaciel serdeczny. Prosi
mnie, abym się z nim zjechał, więc
radbym pojechać.

— A słusznie, słusznie, mój ko-
chany. Tylko bądź ostrożny, bo Chi-
cago to dyabło zepsute miasto. Że-
byś nie popadł w złe towarzystwo,
albo nie trafił w jaką, szulernię.

— Ej, ja bardzo jestem ostrożny,
a mój przyjaciel również. Ale ja
chciałbym panu jeszcze coś powie-
dzieć.

— Mów, mów śmiało. Niech ci
się zdaje, że jestem naprawdę two-
im stryjem.

— Chciałem pana ostrzedz przed
panem Brody, czy Bradmardine. Dzi-
wny człowiek! Czepił się mnie i wciąż
namawia, abym czytywał listy do
pana aresowane i o ich treści mu
donosił. To znowu zadaje mi jakieś
zagadkowe pytania.

— Jakież to pytania?

— Dowiaduje się wciąż o jakąś
pannę, która tu była i ma wrócić.
Obiecał mi nawet sto dolarów, jeżeli
mu się będę o wszystko dowiady-
wał. To nie pięknie z jego strony.
Co on sobie o mnie myśli? To pe-
wnie jaki szpieg ten pan Bradmar-
dine, albo jakiś agent policyjny. Chcia-
łem pana ostrzedz przed moim wyjazdem, aby ten
podejrzany człowiek nie wyrządził panu jakiej przy-
krości.

— Dziękuję ci, kochany chłopcze, bardzo dzie-
kuję. Skorzystam z twej przestrogi. Istotnie, że
natręstwo tego pana i mnie było podejrzane. Nie
dowie on się niczego odemnie.

Stuart pożegnał się z doktorem, zbierał się
w drogę i powtarzał sobie: „a to dziwne! dziwne!
Leonora Arnym w domu obłąkanych!“

XIV.

I znowu zniknęła!

Na odległym przedmieściu w Chicago, pośród
„cienistego ogrodu, widać okazały budynek. Jest to
prywatny zakład dla obłąkanych dra Burtona.
W obszernym, starannie urządzonej pokoju na
drugim piętrze, siedzi w oknie piękna, młoda ko-
bieta. Twarz ma bladą, zmęczoną; wyraz tęsknoty
na niej się rozsiadł; usta cierpieniem moralnem
skrzywione, oczy na pół łzawe.

Smutne myśli ją ogarniają: „Po co żyję? za-
dawała sobie pytanie. Dzieciące lata moje oślania
tajemnica; potem patrzyłam na złamane życie ma-

tki, zboleję wciąż znękanej; potem to, co się sta-
ło! Teraz chronić się przed ludźmi, ukrywać i u-
dawać obłąkaną, aby uniknąć pościgu. Więziem
jestem, niewolnicą ciężkiego losu. Więziem ma
w tem pociechę, że kiedyś otworzą mu bramę wię-
zienną i odzyska wolność. A ja? Ja nigdy nie bę-
dę swobodna, nigdy szczęśliwa!

Jak szczęśliwi ci tam, co tak ciężko w ogro-
dzie pracują! Co to? Do bramy zdąża ktoś nie
znany. Boże! to on!

Raz go tylko widziałam, ale nie zapomnę ni-
gdy, to agent policyi! Już mnie odkryli, pochwycił,
zabija, myśląc, że go zamordowała!

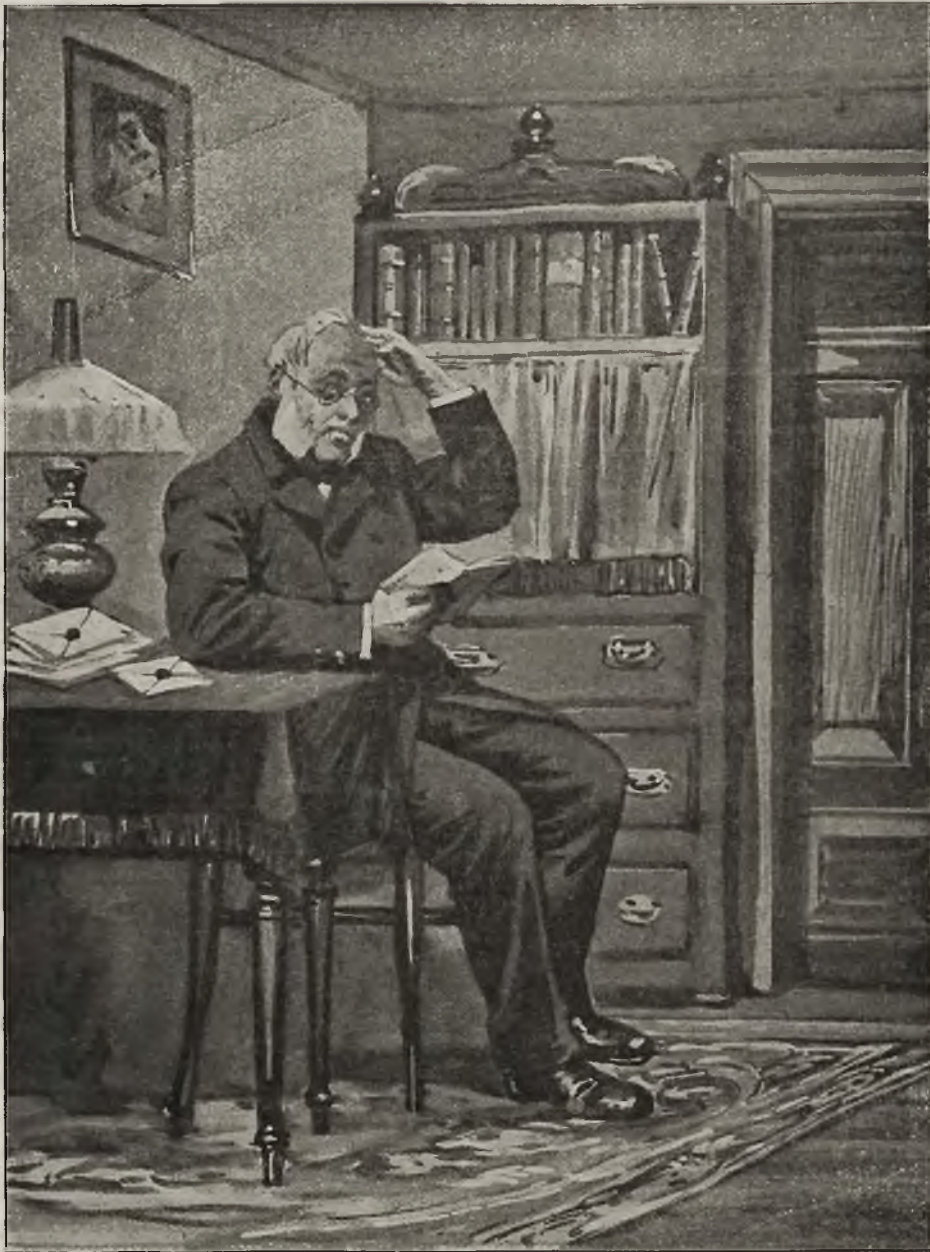
Zerwała się, odbiegła od okna, a tymczasem
do bramy zadzwonił Stuart i gdy mu otworzono,
kazał się zaprowadzić do dra Burtona.

— Jan Jakób Anstin — przedstawił się
Stuart.

— Czem mogę służyć? — zapytał dr. Burton,
człowiek bardzo miły, uprzejmy.

— Przychodzę z polecenia dra Austina.

— Czy to krewny pana?



Doktor czytał listy jeden po drugim.

— Bardzo daleki, ale ja mieszkam u niego, za-
prawiając się co nieco do medycyny.

— Niechże się pan rożgości. Proszę bardzo.
Dr. Austin jest moim serdecznym przyjacielem,
więc miło mi poznać jego kuzyna. Jakież to pan
ma zlecenie do mnie?

— Prosił mnie, abym odwiedził jego pupilkę,
którą tu niedawno u pana umieścił.

— A! pannę Lynn! Zapewne o niej pan
mówi?

Stuart zbił się nieco z tropu, bo nie wiedział,
że pod tem nazwiskiem Leonora tu przebywa. Nie
odpowiadając na pytanie, czekał, jakby milczeniem
chciał pytanie potwierdzić.

— Jakże się miewa?

— Wybornie. Jej choroba była właściwie tylko
silnem rozdrażnieniem nerwów.

— Ja jej nie znam wprawdzie, ale dr. Anstin
życzył sobie, abym ją zobaczył i zdał mu sprawę,
jak wygląda, jakie sprawia wrażenie. Jeżeli pan
zechce na to zezwolić, to proszę mnie tej pani
przedstawić.

— Bardzo chętnie i owszem; to jej nawet
sprawi przyjemność, gdy pozna kuzyna swego o-
piekuna. Ona jest zupełnie przytomna, jak my obaj.

Cała sprawa ogranicza się do tego, iż sobie uroiła,
że ją chcą uwięzić i zamordować.

— Dr. Anstin polecił mi zapytać się jeszcze,
czy nie byłoby korzystnem zmienić jej miejsce po-
bytu?

— Hm! to możliwe, ale musiałaby mieć spokój
ciszy i nie stykać się z ludźmi, bo cierpi na an-
tropofobę. Dopiero zwolna, gdy się już całkowicie
uspokoi, będzie można otoczyć ją dobranem towa-
rzystwem. Zaraz pan zobaczy pupilkę swego ku-
zyna.

Dr. Burton zadzwonił i rozkazał wchodzącej
dozorczyńni, aby poprosiła na chwilę pannę Lynn.

Dozorczyńni poszła spełnić zlecenie. Zapukała
do drzwi pacjentki.

— Czy to Joanna? — odezwał się głos z we-
wnątrz.

— Tak panienko, to ja. Czy mogę wejść.

Drzwi się otworzyły. Leonora Arnym stanęła
w progu.

— Czego sobie Joanna życzy?

— Pan doktor prosi na chwilę do siebie, bo
tam czeka jakiś młody pan.

— Tak? Zaraz przyjdę, ale
wpierw muszę się umyć i przebrać.
Pisząc list oblałam się atramentem.
Proszę mi przynieść gorącej wody
i zostawić ją za drzwiami; tymcza-
sem będę się przebierała.

Służąca się oddaliła, a Leonora
włożyła przedko kapelusza na głowę,
zarzuciła płaszcz na siebie i cicho,
ostrożnie przesnęła się przez kory-
tarz i boczne schody ku ogrodowi.
Przebiegła go prędko i znikła na
nlicy.

Tymczasem rozmawiali obaj pa-
nowie o tem i o owem, ale gdy pół
godziny upłynęło, a pacjentka nie
przychodziła, zaczął niecierpliwić się
dr. Burton i posłał dziewczynę po-
nownie po nią.

Dozorczyńni wróciła bardzo zakło-
potana.

— Niema panny Lynn.

— Dokądże wyszła? — spytał
dr. Burton, cokolwiek zaniepokojony.

— Nie wiem. Gdy jej powie-
działam, że pan doktor na nią cze-
ka, kazała mi przynieść gorącej wo-
dy do mycia i postawić ją za drzwia-
mi pokoju. Mówiła, że się musi prze-
brać i umyć ręce z atramentu. Wo-
dę postawiłam, jak kazała i poszłam
do innych chorych. Gdy teraz zaj-
rzałam do pokoju, panny Lynn już
nie było, a woda została przed
drzwiami nietknięta.

— Co to jest? — zawołał dr.
Burton. — Niezawodnie dostała na-
padu gwałtownego rozdrażnienia.

— Czy panna Lynn wiedziała, że
tu ktoś czeka na nią? — zapytał
Stuart dozorczyńni.

— Ja jej powiedziałam, że jest
jakiś młody pan.

— A na co? kto kazał o tem
mówić? — rzekł Stuart opryskliwie.

— Niech Joanna poszuka panny
Lynn w korytarzach i w ogrodzie —
rozkazał doktor Burton.

— Proszę pana, panie doktorze, zaprowadzić
mnie natychmiast do pokoju zbiegłej pacjentki,
a jeżeli pan się domyśla, gdzie się ukryła, proszę
ją natychmiast sprowadzić — rzekł Stuart tonem
stanowczym i energicznym.

Dr. Burton zdumiał się i obraził, to też poważ-
nie i z wielką godnością odpowiedział:

— Pozwoli pan sobie powiedzieć, że to zuch-
waństwo prawdziwe, rozkazywać w moim zakładzie.
Pacjentami ja się opiekuję, ja tu rozporządzam,
a jeżeli pacjentka widzieć kogoś nie chce, ja jej
zmuszać do tego nie będę.

— Bardzo ubolewam, że panu to nie miłe, ale
mimo tego ponawiam stanowczo moją prośbę.

— A ja powtarzam, iż jej nie spełnię.

— W takim razie muszę tego żądać i wezwać
pana, abyś me żądanie spełnił.

— Kto pan jesteś, że ośmielasz się w ten spo-
sób przemawiać?

— Jestem agentem policyi i przybywam tu,
aby spełnić obowiązki urzędowe. Proszę mi nie
przeszkadzać w urzędowaniu.

(Ciąg dalszy nastąpi).